Nr. 5. W Krakowie, dnia 1 Czerwca 1888. r. Rok I.

GŁOS POLSKI

„GŁOS POLSKI" wychodzi każdego 1. i 15. dnia miesiąca w objętości arkusza do dwóch arkuszy druku.

Prenumerata wynosi:
W Krakowie do końca r. 1888 (za trzy kwartały) . . . . . . 2 złr. — ct.
W Krakowie kwartalnie do 31 Sierpnia b. r. . . . . 70 ct.
W Galicyi do końca r. 1888 (za 3 kwartały . . . . 2 złr. 40 ct.
W Galicyi kwartalnie . . . . . . 80 ct.
Za granicą kwartalnie 3 marki lub 5 frank.
Pojedynczy numer 12 ct., z przesyłką 14 ct.
Za odnoszenie gazet do mieszkania należy się 2 ct. od numeru.

Przedpłatę i ogłoszenia przyjmują: Administracya „Głosu Polskiego" w Krakowie, tudzież wszystkie urzędy pocztowe, księgarnie, agencye i t. p. w kraju i za granicą.

Ogłoszenia oblicza się najtaniej, a w szczególności: inseraty po 4 ct. od wiersza petitem, drobne ogłoszenia po 1 ct. od słowa, reklamy w „Nadesłanem" i w „Głosach publiczności" po 10 ct. od wiersza. Załączniki przyjmuje się za opłatą z góry 50 ct. od 100 egz. dla zamiejscowych, a po 30 ct. dla miejscowych prenumeratorów.

Biuro Redakcyi i Administracyi w Krakowie, ul. Jagiellońska nr. 11 w parterze.

Kalendarz historyczny polski.

1. Czerwca 1236. Przyłączenie Podlasia do Korony.
2. „ 1624. Urodzenie Jana Sobieskiego w Olesku.
3. „ 1605. Śmierć Jana Zamojskiego, kanclerza-hetmana.
4. „ 1102. Śmierć Władysława Hermana.
5. „ 1569. Wcielenie Kijowczyzny do Korony.
6. „ 1443. Trzęsienie wielkie ziemi w Polsce.
7. „ 1492. Śmierć Kazimierza Jagiellończyka.
8. „ 1339. Śmierć Aldony, pierwszej żony Kazimierza Wielkiego.
9. „ 1595. Urodzenie Władysława IV.
10. „ 1651. Przyjazd Jana Kazimierza do Częstochowy.
11. „ 1451. Sejm w Piotrkowie daje pierwszeństwo arcybiskupom gnieźnieńskim w koronowaniu królów.
12. „ 1583. Tryumf Jana Zamojskiego w Krakowie.
13. „ 1611. Zdobycie Smoleńska przez Zygmunta III.
14. „ 1793. Otwarcie sejmu Targowiczan w Grodnie.

OD ADMINISTRACYI.

Nowi prenumeratorowie mogą każdej chwili przystąpić z przedpłatą. Na żądanie otrzymają wszystkie numera **„Głosu Polskiego"** od 1-go kwietnia b. r. W celu uregulowania stałego nakładu upraszamy o **bezzwłoczne nadesłanie prenumeraty**, którą też dla nowych prenumeratorów **zniżamy**. Patrz w nagłówku.

Zwracamy uwagę szan. czytelników, że przy naszej Administracyi znajduje się **Biuro Informacyjne** załatwień i pośrednictwa we wszelkich interesach i sprawach prywatnych. O bliższych szczegółach dowiedzieć się można z zamieszczonego poniżej inseratu, tudzież z artykułu w *„Nowinach krakowskich"*.

Administracya zawiadamia wszystkich interesowanych, że p. *Gerwazy Wrotniak*, który tylko przez miesiąc Kwiecień był uprawnionym do zbierania ogłoszeń w naszej gazecie, z dniem 1. Maja b. r. w żadnym stosunku z wydawnictwem **„Głosu Polskiego"** nie stoi, i nie ma też żadnego uprawnienia do występowania w imieniu Administracyi, która nie przyjmuje za tegoż żadnej odpowiedzialności.

Z polityki europejskiéj.

Ciekawy widok przedstawiają obecnie *Niemcy*. Chory monarcha toczyć musi ciągłe spory z potężnym kanclerzem i z własnym synem. Ledwie na chwilę ponure mury zamku w Charlottenburgu rozjaśniły się podczas zaślubin księcia pruskiego Henryka z księżną heską Ireną, aleć zaraz potem wybuchł nowy konflikt między niemieckim cesarzem a Bismarckiem z powodu orderów, którymi chciał bezstronny monarcha wynagrodzić niektóre osobistości z obozu lekkomyślnych. Mimo oporu żelaznego kanclerza udekorowani zostali Virchow i Forkenbeck, reszta zaś z proponowanych czekać musi na stósowną porę.

Także na zewnątrz stosunki Niemiec noszą na sobie cechę konfliktów i sporów sąsiedzkich. Przeciwko Francyi wydał kanclerz obostrzone przepisy paszportowe, przeciw Moskwie ma w pogotowiu podwyższone cło na zboże, ale wstrzymuje się jeszcze z zastósowaniem tego heroicznego (!) środka w nadziei, że przyjdzie do zgody między dawnymi sprzymierzeńcami.

Z Petersburga nie przyniósł drut telegraficzny żadnéj niespodzianki. „Chory człowiek" w Konstantynopolu trzyma się jakoś, mimo że przez pewien czas dużo miał do zniesienia od Greków. Polityczne prowizoryum w Bułgaryi przynosi krajowi coraz namacalniejsze korzyści, a to wbrew twierdzeniom i świętym zapewnieniom „opiekunki Słowian".

Z Włoch otrzymaliśmy senzacyjną wiadomość o mającym rzekomo nastąpić zjeździe cesarza austryackiego z królem włoskim w Bolonii. Większość dzienników zaprzecza jednak stanowczo, jakoby ten zjazd przyszedł do skutku.

Dla *Austro-Węgier* wypadkiem pierwszorzędnego znaczenia jest świeże otwarcie kolei z Belgradu do Saloniki, skutkiem czego Wiedeń ma bezpośrednie połączenie z morzem Egejskiém. Na konferencyi w Budapeszcie przyszła do skutku umowa co do bezpośredniego ruchu osobowego na linii Wiedeń-Salonika, obecnie toczą się rokowania co do t. zw. związkowego ruchu towarowego.

We Francyi bieg wypadków toczy się pozornie trochę prędzej. Przez paryskie bulwary biegną kolporterzy i roznoszą osławiony „Journal officiel du Boulangisme", wołając przytem: „Manifeste de Georges I. au peuple français." Mimo wszelkich usiłowań, ażeby ośmieszyć Boulangera, pensyonowany ten generał zyskuje licznych zwolenników. Zaprzeczyć tego nie można, a jeśli ten „bohater dnia" jest rzeczywiście niczem więcej, jak tylko blagierem, — w takim razie smutne świadectwo wystawia sobie republikańska Francya. Tymczasem przeciwnicy Boulangera starają się usilnie o zjednoczenie republikanów wszelakich odcieni, i w tym celu założyli „towarzystwo dla ochrony praw obywatelskich". Monarchiści również nie zasypiają sprawy: Wybitne osobistości z obozu Bonapartystów usiłują przyprowadzić do skutku pojednanie ks. Hieronima z synem Wiktorem, — obu zaś książąt z excesarzową Eugenią. Ogólny stan Francyi scharakteryzował dowcipnie jeden z dyplomatów, mówiąc, że Boulanger wprowadził farsę do polityki...

Królowa hiszpańska *Krystyna* przy sposobności zwiedzenia wystawy krajowéj w Barcelonie, zagościła po raz pierwszy do Katalonii i Aragonii, do prowincyj, które dotychczas były dla tronu wprost wrogiemi. I dziwna rzecz: ludność wszystkich stanów przyjęła królowę entuzyastycznie, a przewódca republikanów, nieprzejednany Escosura, wygłosił na cześć monarchini powitalną mowę, którejby nie szczędził oklasków najzagorzalszy monarchista. Europa przyjęła sympatycznie ten zwrot w usposobieniu politycznem Hiszpanii. Reprezentanci mocarstw przybyli do Barcelony na wystawę, a w porcie zjawiły się okręty rozmaitych państw.

W ogólności czuć obecnie w polityce europejskiéj *prąd pokojowy*.

Patryotyzm dzisiejszych Polek.

O! nie zginęła jeszcze Ojczyzna,
Póki niewiasty tam czują!
Bo z ich to serca płynie trucizna,
Którą wrogowie się strują.

Jeszcze wykarmią one w zaciszy
Grono olbrzymiej młodzieży,
Od nich pachołę o nas usłyszy,
I jak my w wolność uwierzy.

Wstanie mąż wielki z tych polskich kości,
Wielki, jako sny za młodu!
Z uczuciem krzywdy mego narodu,
A z mieczem całej ludzkości!..

Tak śpiewał Pol Wincenty w *Pieśniach Janusza* w r. 1832., ale dziśby ani Asnyk ani młody Orłowski nie zawtórowali téj pieśni, bo „niewiasty czują" zamiłowanie do tiurniury, a z serca ich płynie „słodziutkie plotkarstwo", którem atoli już nie Apuchtin, ale nawet ciura przy rampie w Michałowicach otrućby się nie mógł, bo go nawet skoszotowaćby nie chciał, takie niesmaczne. Nie wychowują one „rycerzy", bo nie wychowują nikogo. Od czego bony Niemki, lub Francuski?

ECHA POLSKIE.

(*Hrabowie rzymscy. Żydek z Kaźmierza. Wiec lwowski. Konie i psy w Poznańskiem. Gdzie Komitet ratunkowy? Konkurs dla radnych Krakowa.*)

Nowe dobrodziejstwo spadło na kraj nasz i jego mieszkańców. Oto dwaj panowie Mańkowscy z powiatu rudeckiego otrzymali tytuły hrabiowskie od papieża Leona XIII. Ojców naszych mocny Boże! dzięki Ci, że dziejom naszym porozbiorowym przybyła nowa świetna karta. A jednak znaleźli się ludzie, zaślepieni czy złośliwi, którzy mieli smutną odwagę wyśmiewać powyższą nominacyą. Na szczęście w Krakowie, Wiedniu, Kulikowie i Pacanowie, w ogóle we wszystkich stolicach europejskich, decydujące sfery wiedzą, czemu przypisać te objawy *tromtadracyi i warcholstwa*.

Raz na Kaźmierzu widziałem małego żydka, który siedział na schodkach, prowadzących do sklepiku i płakał zawzięcie, jak gdyby miało nastąpić nowe zburzenie Jerozolimy. Naprzeciw malca stał poważny żyd, zapewnie ojciec, i wypytywał go o powód płaczu. Malec milczał, płacząc dalej, co widocznie starego bardzo irytowało.

—*No, wus willst di?* — zawołał nagle, zaciskając pięści — *no sug, vielleicht Cikelad?*

— *Ech will Brojtl* — odpowiedział wreszcie malec po długim namyśle.

Haec fabula docet, że na świecie zawsze i wszędzie bywają ludzie, którym wcale nie imponuje czekolada, którym natomiast smakuje chleb i czasami po ciężkiej pracy kieliszek taniej a dobrej wódki. Ludzie tacy i ich rzecznicy nigdy nie ocenią doniosłości takich faktów, jak na przykład, że hr. Lolo otrzymał klucz szambelański, baron Finio tytuł hrabiego, a pan Dziunio z Dolnej Nędzy order, za położone około rolnictwa i propinacyi zasługi... Ludzie tacy wolą zimową czapkę zamiast korony hrabskiej, ordery zaś — niech to zostanie między nami— gotowi zastawić przy najbliższej sposobności. Straszne zaiste czasy!

Zresztą należy mieć trochę zmysłu politycznego i pamiętać, że w historyi największych nawet narodów obok wielkich zdobyczy stoją także wielkie straty. Kto zna tę wielką prawdę dziejową, nie będzie wcale wydawał okrzyków warcholskich, jeśli po kilku ważnych nominacyach nastąpi, dajmy na to, ustawa o podatku od nafty lub od spirytusu.

Dlatego też nie mogę zrozumieć, w jakim celu tromtadraci lwowscy zwołali zgromadzenie wyborców dla powzięcia uchwał w sprawie podatku od spirytusu. A już wcale nie mogę zrozumieć postępowania p. Rewakowicza, redaktora *Kuryera Lwowskiego*. Oto zaraz na początku owego wiecu lwowskiego chciał p. Rewakowicz odczytać list posła Karola Lewakowskiego, który się usprawiedliwia, że z powodu choroby swej żony nie mógł z Wiednia przybyć na zgromadzenie lwowskie. Komisarz policyjny nie pozwolił odczytać owego listu, opierając się z pochwały godną energią wszelkim atakom. Proszę sobie wyobrazić, co się dalej stało w konstytucyjnym kraju? Pan Rewakowicz stawia formalny wniosek, ażeby zgromadzenie uchwaliło, że postępowanie komisarza rządowego będzie przedmiotem prawnego dochodzenia... Fakt nie potrzebuje komentarza.

W świętem oburzeniu wobec przeróżnych objawów grubej niesubordynacyi byłbym zapomniał podzielić się z czytelnikami jeszcze jedną miłą wiadomością. Na berlińskim torze wyścigowym *konie polskie* spisały się tak świetnie, że nawet dzienniki niemieckie zamieściły o nich zaszczytne wzmianki. Oczywiście, że i w tej kwestyi nie brakło złośliwych a wcale niedowcipnych przymówek. I tak słyszałem na własne uszy, jak pewien jegomość mówił, że w Poznańskiem konie więcej są warte, niż ich właściciele... Samo słuchanie podobnych uwag jest grzechem i niech czytelnik będzie pewny, że się wyspowiadam jak najprędzej.

Swoją drogą słuchałem dalej, co owi panowie mówili; słuchałem jednak w interesie czytelników a nie z ciekawości. Więc tedy jakiś inny jegomość z rudą brodą śmiał twierdzić, że tam nawet psy są lepsze, niż ludzie, bo z rąk pewnego obywatela, który sprzedał majątek pruskiej komisyi kolonizacyjnej, własne jego wyżły nie chcą przyjąć chleba. Głupstwo... Jeśli owemu obywatelowi nie idzie o to, kto ma przyjąć chleb z jego ręki, ale tylko o to, ażeby wziąć, to w takim razie na bruku krakowskim znajdzie dosyć chętnych kompetentów.

Skoro już mowa o Poznańskiem, nie zawadziłoby zapytać, co porabia komitet, zawiązany w celu *zbierania funduszów na zakupno akcyj*

Za dawnych czasów wskazywano palcami takie matki, co pozbywały się najświętszej godności macierzyństwa: karmienia dzieci i wychowania. Dawniej wielkie panie w magnackich salonach tu i owdzie pozwalały sobie substytucyi, dziś pani doktorowa, adwokatowa, profesorowa, nawet kanceliścina nie może karmić dziecięcia, bo przy tem figurę się traci; nie może go wychowywać, bo na to nie ma czasu. Zkądże? Do 9 godziny trzeba spoczywać w łóżku; do 12 godziny zająć się toaletą, potem wizyta, dalej obiad, drzemka po obiedzie, kawa codziennie u innej przyjaciółki, spacer, teatr, koncert, planty, imieniny, wizyta, herbatka. Ach! zkądtu wziąć czasu?

Więc sprowadza się bonę, czasem taką, co krowy pasła w Szwajcaryi, niekiedy sodaliskę, najczęściej praktykantkę z magazynu mód. Obowiązkiem jej starać się o to, by dzieci ani słowa polskiego nie słyszały, przerabiać suknie pani, a przytem chodzić z dziećmi na spacer i gdy czas się znajdzie, zająć się ich wychowaniem.

Dziwimy się, że młodzież wystudzona, zimna, bezbarwna, apetyczna napełnia dziś ławki gimnazyalne! Czyż może być inną, wychowana przez modystki francuskie lub niemieckie szwaczki?

W salonie leży n. p. „*Stara baśń*“ Kraszewskiego, w wydaniu wspaniałem, illustrowana.

— Jakże ci się podobała ta powieść?

— Wiesz, że niewygodnie czytać z tak wielkiej książki, więc nie czytałem, ale inne *baśnie* Kraszewskiego znam, czytałam ich coś z pięć.

— Aż tyle? Widziałaś Matejki: *Kościuszkę pod Racławicami?*

— J i i i.. nie mogłam się zebrać. Zresztą nieciekawam; już tyle portretów Kościuszki widziałam.

A ileż to trudów i zabiegów podejmują ludzie dobrej woli, by dźwigać przemysł krajowy? Jak to kłuje sobie palce biedna wyrobnica, by przystroić kapelusz do magazynu?

Dla kogo? Polki sprowadzają z Wiednia, mozolnie studyują niemieckie cenniki, którymi wiedeńczycy kraj nasz zarzucają, nie zadając sobie nawet trudu, przysyłać je w polskim języku. Polka nawet nie pomyśli o tem, że to impertynencya niemiecka, że to obrażać nas powinno. Studyuje cenniki i łamie się z trudnościami, by niemieckim listem zamawiać wiedeński towar. To kradzież, to rozbój, popełniony na pracy polskich pracowników, na godności narodowej, na miłości kraju. Ale któżby się tam nad tem zastanawiał, skoro tak przyjemnie pochwalić się przed znajomą, że kapelusz z Wiednia, że suknia z Wiednia, że tu w Krakowie nie ma nic porządnego.

Mnie matka uczyła wraz z pacierzem historyi polskiej. Ile też w kraju, choćby w Krakowie takich matek? Natomiast czternastoletnia dziewczyna umie już używać pudru i robić plotki, a oczyma strzelać na studentów; piętnastoletni chłopiec rezonuje, że bogato się ożeni, że będzie szukał karyery, bo ma protekcyą wujaszka, który jest kuzynem znajomego pana marszałka Rady powiatowej, lub posła do Rady państwa, czy tam wreszcie i pana Ministra.

Takich matek takie pokolenie nie będzie wrogów „trucizną“, ale gnojem, wśród którego wylęże się robactwo spodlenia i samobójstwa narodowego!...

Zalety i wady ludu galicyjskiego.

Lud nasz galicyjski jest dosyć bogato od natury wyposażonym. Jest fizycznie zdrów, silny, rosły i przyjemnych rysów. Zdobi go dowcip, nadzwyczajny spryt i wielkie czasami zdolności. To wszystko okrasiła przyroda swą pięknością, rozmaitemi wdziękami, wśród których nasz kmiotek przebywa i nimi się rozkoszuje.

Z własnego spostrzeżenia i opowiadania lekarzy wiem, że większe choroby między ludem stosunkowo są dosyć rzadkie; najczęściej nawiedza go ospa i febra. Inne słabości n. p. żołądkowe, ból głowy, ból zębów itp. są codzienne, ale te na wsi wcale ani do chorób, ani do słabości się nie liczą. Podobnie zwichnięcie nogi lub ręki, potłuczenie kości a nawet choroby połogowe u kobiet nie sprawiają u ludu żadnej dolegliwości, ani też przeszkody wśród pracy.

Czasem chłopa tak poranią w karczmie, że się ruszać nie może, oczy podbite, pięć dziur w czole, mimo to przeleży dzień, poobwija głowę i idzie do roboty rębać drzewa w lesie albo łamać kamienie. Śmieje się przytem, że mu porachowano kości albo wypłoszono „barany“. U nas gdy chłopu złamie się noga, to tylko idzie do „ciorta“, ten mu obłoży gliną, a za tydzień chłop zdrów. Nieraz w zimie można widzieć dzieci chłopskie boso ślizgające się po lodzie i choć mają obuwie, to dla przyjemności biegają boso po śniegu. Pamiętam, za mych czasów nieraz blisko ćwierć mili do szkoły szliśmy boso po grudzie i śniegu. Zrazu było nam zimno, potem nogi rozżarzyły się jak węgle i było nam gorąco. Mimo to żadne z nas nie miało ani kaszlu ani zapalenia.

Częste pojawianie się ospy pochodzi ztąd, że lud nasz nie ma zaufania do szczepienia. Wprawdzie teraz każdy chłop szczepi swe dziecko, bo musi, ale wcale tego dalej nie pielęgnuje. Szczepienie może się nie przyjąć, albo się rozjadzi, o co on się wcale nie troszczy ani jego żona. Febra jest następstwem nadmiaru w jedzeniu i piciu, albo pożywania niedbale sporządzonych potraw, niedogotowanych, niedojrzałych owoców, surowej rzepy, karpieli, marchwi, w ogóle z niedbalstwa o własne zdrowie. Lecz i z tego nic sobie chłop nie robi — „odcyni sobie urok“ — „idzie do młynka“ — „zmiele miarke“ — „przetrzymo frybrę“ i — „juz po chorobie“, a jak nie, to jeszcze bardziej obje się karpieli lub ziemniaków.

Starzy między ludem dochodzą dosyć późnego wieku — bardzo często przekraczają setkę, przyczem są jeszcze ruchliwi, rzeźwi i tylko młodym dokuczają. I tak np. mój ś. p. dziadek miał lat 106, gdy umierał. Do samej śmierci był tak krzepki i silny, że tańczył jak parobczak 25-letni: kozaka „z prysiudami“, „obertasa“, a ciągle nam mówił, że jak był „chłopokem“ to podkowy w zębach łamał i połykał, a nic mu nie było — a my co chwila kwękamy. Możeby jeszcze żył dotychczas, ale się biedak „zerwał“ dźwiganiem kijów grubych, a był jeszcze zupełnie zdrów. Pamiętał dobrze „Kostuskiego“ i wiele mi o nim mówił. Niemniej i kobiety odznaczają się zdrowiem i silną budową; niektóre z nich nawet są bardzo ładne i zgrabne, tak, iż niejedna z miejskich dam mogłaby im pozazdrościć. Mężczyznom w sile wcale nie ustępują, wytrwałością w pracy nawet ich przewyższają. Nieraz mąż zabierze się z domu na cały tydzień, a nawet na cały miesiąc do roboty; baba sama w domu gotuje, pierze, miele, młóci, kopie, sieje, nawóz wozi— w ogóle robi za siebie i za męża. Nieraz nawet mąż jej „nie da rady“ — sama go wytłucze a bić się nie pozwoli.

Przy tem wszystkiem lud nasz jest niezmiernie sprytny i pojętny, a dowodem tego jest wielu mężów zajmujących niepoczesne stanowiska w społeczeństwie, aczkolwiek pochodzących z gminu. Zresztą prawie każdemu wiadomo, że i w szkole prawie zawsze najlepiej uczą się dzieci chłopskie. Nieraz jednak można słyszeć zażalenia rozmaitych przedsiębiorców np. budowy mostów, kolei, cegielń, fabryk itp., że chłop nasz jest bardzo niezgrabny i jakby od natury upośledzony, co jednak jest rzeczą mylną. Nie pomyślą dobroduszni chlebodawcy, że przyczyna nieudolności chłopa leży nie w chłopie, ale w nich samych. Gdzież się ten biedny człowiek ma nauczyć zgrabności i nabyć wprawy, kiedy przedsiębiorca zamiast niego przyjmuje i sprowadza obcych włóczęgów do pracy, — a jeśli przyjmie naszego chłopa, to tylko do robót najlichszych i za bardzo małą cenę. Skądże więc chłop nabierze ochoty do pracy, jeśli wie, że go już z góry uważają za dzika do niczego niezdatnego. Cóż ma robić, „jako płoco, tako proco“ — a więc spycha niedbale z dnia na dzień. Lecz niech tylko przedsiębiorcy dadzą chłopu odpowiednie zajęcie, niech go przyjmą do robót trudniejszych i dobrze zapłacą, jak płacą obcym włóczęgom, a zobaczą, że i on okaże się w niejednym kierunku sprytny i pojętny. Obcy robotnik niech mu tylko będzie przykładem, instrukcyą, nauczycielem, a nie pasożytem... Wreszcie chłop nasz poprostu nie ma gdzie rozwinąć tego talentu, gdyż przemysł i rzemiosła w kraju są na bardzo niskim stopniu. Szkoła ludowa (prawdę mówiąc) nic praktycznego nie nauczy go— zaledwie pisać i czytać niedobrze, bo jakże, kiedy sam nauczyciel więcej nie umie takiego, coby chłopu posłużyło do rozwinięcia jego fachowych zdolności, — nauczyciel nie umie sadownictwa, nie umie pszczelnictwa, o użytku ryb nie ma pojęcia. A wreszcie choćby i co umiał, chce mu się to pofatygować do chłopa, pokazać, pouczyć, — nie! Nie mówię, żeby tu nie było wyjątków—są—ale te wyjątki są prawdziwie wyjątkami.

A dalej — chłop nasz nie ma szkół rzemieślniczych ani agronomicznych — a powinny być — p o w i n n y b y ć s z k o ł y r o l n i c z e d l a c h ł o p ó w. Są wprawdzie szkoły, ale jakie? — niepraktyczne, które wprost należałoby zreformować i to rozsądnie. Mówimy, że chłop nasz dziki. Czyż może przy takich warunkach oswoić się? Lud nasz, to dziecko utalentowane, które dopiero trzeba po ojcowsku wychować i praktycznie wykształcić. Tem zaś

poznańskiego Banku ziemskiego. Po zimowym śnie powinienby komitet podwójną rozwinąć gorliwość, tem bardziej, że nadchodzi kąpielowa pora, podczas której wszelaki *homo* używa dobrze zasłużonego spoczynku. Przepraszamy najusilniej za niedyskrecyą, ale sam komitet przyzna, że należy zbierać pieniądze, dopóki ich nie pochłonie Karlsbad, Wiesbaden i... spirytus.

Czy dobrze zasłużonego spoczynku używają nasi ojcowie miasta, nie wiemy, ale że używają gruntownego wypoczynku, dowodem jest fakt, że nie chcą przychodzić na posiedzenia Rady. Jakiś pesymista twierdził, że sprawy miasta na tem nie wiele ucierpią, gdyż to wszystko jedno, czy taki pan radny drzymie albo dłubie w zębach czy w domu czy w sali posiedzeń. Nie zapuszczamy się w mozolne rozwiązywanie tej kwestyi, pozwalamy sobie natomiast postawić następujący wniosek:

„Ponieważ żyjemy w epoce konkursów, przeto Prześw. Prezydyum Magistratu rozpisze bezwłocznie konkurs na napisanie dzieła pod następującym tytułem: *Łatwy i skuteczny sposób sprowadzenia radnych na posiedzenia*. Autor uwieńczonego dzieła otrzyma posadę dyurnisty przy Magistracie.

Szczegółowych wiadomości o bliższych warunkach konkursu można zaczerpnąć w godzinach śniadankowych w handlach Hawełki, Suskiego, Wentzla i t. d.“

Podajemy tę skromną myśl w nadziei, że w przyszłych „Echach“ będziemy mogli donieść, ilu zwolenników pozyskał sobie ten wniosek w gronie ojców *vulgo* rajców Podwawela.

Cóż warte...?

(Wiersz z obecnej chwili.)

Cóż warte ż y c i e, gdy bez zapału
I bez odwagi pójścia w ten świat —
Cóż warte życie bez ideału,
Z czarną pomroką młodzieńczych lat?
Cóż warta m i ł o ś ć bez poświęcenia,
Zdala od cierpień i łzawych dni —
Cóż warte s e r c e, gdy bez wytchnienia
Tylko o marnych wielkościach śni?
Cóż warta p r z y j a ź ń, w której ukryty
Materyalizm, jak morski smok,
Pochłaniający mienie, zaszczyty,
Nęcąc pochlebstwem nikczemny wzrok?...
Cóż dzisiaj warta m i ł o ś ć O j c z y z n y,
Zdobiona szatą znikomych słów, —
Cóż warte, gdy nam ojczyste blizny
Przyśnią się chyba śród błogich snów?
I cóż są warte nasze m a r z e n i a,
Gdy ich nie stwierdza prawdziwy czyn —
Cóż warte wszystkie ustne złączenia,
Gdy serce — jako wyrodny syn?
Cóż warte nawet wszystkie z a m i a r y,
Gdy im zwodnicza nadzieja lśni,
Cóż warta postęp, który bez wiary
O wielkich czynach w przyszłości śni?
Cóż warte myśli o w i e c z n e m ż y c i u,
Gdy nie znosimy ciernistych dróg,
Kiedy śród szczęścia w błogiem ukryciu
Zapominamy, że jest i — Bóg?
Cóż warta w i a r a, m i ł o ś ć, n a d z i e j a,
Jeżeli z gromem nieszczęsnych burz
Rozpacz, jak straszna, mroźna zawieja,
Zmienia je w wieniec uwiędłych róż?
Cóż warte życie śród tego tłumu,
Coby ś w i a t n o w y utworzyć chciał,
Który nie szuka prawdy, rozumu...
Byleby tylko fortunę miał?
Cóż warte, jeśli spokojnem okiem
Patrzym, jak z n ę d z y ginie nasz brat,
A nie zrażeni przykrym widokiem
Krzyczym: „Niech ginie żebraczy gad!...“
Cóż warte, jeśli pomocnej dłoni
Szczędzim bliźniemu, którego łza
Ludzie bez serca, w cichej ustroni,
Dzikie swe żądze napoić chcą?
Cóż warte nasze m o d ł y przed Bogiem,
Gdy serce kryje zepsucia pleśń,
Gdy święte prawa leżą odłogiem
A w ustach brzmi nam czartowska pieśń?
Cóż warte c h ę c i, z a m i a r y, c z y n y
Bez poświęcenia i bez tych cnót,
Co nie uwieńcza czoła w wawrzyny
I nie otworzą przyszłości wrót?...
Cóż warte, jeśli dla s p o ł e c z e ń s t w a
Niczem nie służym od pierwszych lat,
Gdy zamiast wzrastać z palmą męczeństwa
Giniem, jak w puszczy zrodzony kwiat?

O, takie życie dziko spędzane,
Niezdolne znosić cierpień i prób,
Pochłonią wzgardy fale zebrane
I niepamięci zakryje — g r ó b!...

Kraków 1888 r.

St. Wajda.

nietylko towarzystwa oświaty ludowej, ale każdy, kto się czuje na siłach i ma powołanie do tego, powinien się zająć, — a więc przedewszystkiem księża i nauczyciele, właściciele dóbr ziemskich i ich oficyaliści — w ogóle każdy, kto ma styczność z ludem. Pamiętajmy, że to nasz obowiązek. Kto tego zaniedbuje i lud lekceważy, nie jest dobrym patryotą.

Lud nasz wiejski jest z natury dumny i zarozumiały. Nie łatwo ugnie się przed panem, jeśli ten go lekceważy, — a gdy się nawet ugnie, to z bojaźni, lecz wtedy w sercu jego wre największe oburzenie. Pycha ta jednak nie jest tylko jego stroną ujemną, ale i dodatnią, albowiem ona pobudza go nieraz do najszlachetniejszych czynów np. do wspaniałomyślności, do litowania się nad biednymi, do pracy, emulacyi między sąsiadami itp., jak z drugiej strony przez obcy wpływ źle skierowana do występku, do marnotrawstwa, do bójki i rzezi. Przykładów wspaniałomyślności kmiotków naszych znalazłoby się mnóstwo. Bardzo częste są wypadki, że chłop sługi pracowite i uczciwe wyposaża i za mąż wydaje, sieroty przyjmuje za swoje, ubogiemu da komorne, za co ten nieraz źle mu się odpłaci. Dziada odprawić, uważa za grzech ciężki. Jest dosyć gościnny, ale jeśli go kto sam odwiedzi. Zapraszać nie lubi, bo się boi, żeby nie wzgardził. Jest grzeczny, ale w miarę, — obrażony gniewa się a wtedy milczy, albo kłóci się i bije zaraz. To też bardzo powinno zależeć szerzycielowi oświaty, aby niczem tego ludu nie rozdrażnił, by sobie go nie zraził, bo wtedy nietylko żeby nauki jego nie przyjął, ale mu w niczem na później nie wierzył i nazwał „cyganem ciarachem". Tu przedewszystkiem powinna być ostrożna *„Macierz polska"*, która wcale nie wiedząc o tem, wydobywa w swych pouczających historyjkach takie z przeszłości wspomnienia o Polsce, które poprostu chłopu są wstrętne np. o wielkości Rzeczypospolitej i o wielkości szlachty.

Nie cierpi także, gdy kto do niego przemawia w jego własnym języku, czego sobie znowu *„Macierz polska"* czasem pozwala. Chłop powiada, że mu się „ciarachy przedzyźniają". A jeszcze gdyby to autor usiłujący naśladować styl, gwarę ludową umiał naśladować — toby ta jeszcze półbiedy — ale jak on powie jedno słowo „po pańsku", a drugie przekręci zamiast „po chłopsku", tak że mowa jego podobna raczej do jakiegoś nowego „volapiku", niż ludowej lub polskiej, — to dopiero rzecz pocieszna, arcykomiczna... Sam chłop się z tego śmieje, powiadając: „A to dopiéro głupi ciarach, jesce mówić nie łumié, język mu sie telepie jak cielęciu — a mnie bedzie łucul". Trzeba więc z takiemi historyjkami dać mu spokój, a jeśli mają być jego duchowym pokarmem, to trzeba poddawać ludowi takie powiastki, w którychby była jakaś wyraźna, moralna i praktyczna w życiu nauka i odpowiednia dla niego.

Byłoby więc rzeczą zbawienną, by nasi pisarze ludowi tworzyli swe historyjki na tematy wzięte z potocznego życia np. „Kto pracuje i oszczędza, — nie zna nigdy, co to nędza", — „Kto rano wstaje, temu Bóg daje, — „Jak sobie kto pościele, tak się wyśpi", — itp. Poprostu, każdą moralną naukę ubrać w szatę historyjki, wziętej z życia codziennego. Osoby występujące niech będą chłopami lub rzemieślnikami. Sposób zaś przeprowadzenia może być trojaki: albo przedstawimy tu osoby z ich zaletami ujemnymi, z ich niedobrem postępowaniem i karą, jaka ich za to spotkała n. p. nędza, ubóstwo, a nawet śmierć, — albo wreszcie zestawimy obok siebie dwa kontrasty: życie złego i dobrego człowieka. Takie historyjki nietylko lud przeczyta, ale je pochłonie i przyswoi sobie. Zobaczy nieraz swój obraz w historyjce i odtąd będzie się starał poprawić, a z pewnością się nie obrazi. Styl zaś takiej historyjki powinien być jasny, przystępny, czysto polski. Chłop nazywa swoją gwarę „łordynarną mową", zatem nie lubi jej słyszeć z ust „pana", który nie powinien być „łordynarny". Ksiądz niech tylko mówi z ambony „troche z wiej ska" — to zaraz chłop „przypnie mu łortyl, że jegomoś niehadukowany" — za to z przyjemnością słucha, jeśli kto mówi do niego „zwięcnie — po pańsku" — i to go nie zrazi.

Lud nasz jest także wielce zazdrosny i zbyt podejrzliwy. Zazdrość jego objawia się w tém, że mimowoli cieszy się z upadku sąsiada, a smuci się i martwi jego powodzeniem, czém właśnie i nasza inteligencya nie wiele się od niego różni. Chłop zazdrości i cieszy się z upadku sąsiada, ale sam do tego ręki nie przyłoży, — tymczasem wśród naszej inteligencyi jeden pod drugim dołki kopie, co bardzo smutno i przykro. Podejrzliwość chłopa okazuje się w tém, że nie lubi wszelkich nowości, bo im nie dowierza. Rad ich słucha, ale jest obojętny i wcale się do nich nie myśli zastósować. Jest zatém bardzo konserwatywny. Trzebaby więc osoby bardzo nieskazitelnéj, wiarogodnej, trzeźwéj, by go mogła w czém przekonać. Jeszcze trochę księdzu wierzy, jako „piastunowi bożemu", ale ten znowu boi się z chłopem dłużej pogadać, boi się zajrzeć do jego chaty. Zrobi, co swoje, a zresztą, co mu ta o resztę!

Lud nasz jest dosyć leniwy, ospały i nieskory do pracy. To też chętnie zaniedbuje gospodarstwa w domu, w stajni, w sadzie i na polu. Byle jaka okoliczność: wesele, chrzciny, nabożeństwo jakie, odpust — a zaraz porzuca wszystko i idzie się bawić. Wlecze się 5, 6 i 10 mil na odpust — po co, by się modlić? — Nie — „ot, by się łobocyć z kumem, wypić śklonecke, dać na mszo, i dzieciom łodpust przynieść"! — to ich cel pielgrzymki. Są wprawdzie między nimi prawdziwie pobożni, ale większa część wlecze się na „łozpuste" — jak sami mówią. — Wesela trwają po 3 do 6 dni, a chrzciny po 2, na co bardzo dużo wydają, zadłużają się i niszczą majątki. W gospodarstwie brak porządku, systematyczności, wszędzie wielka nieporadność i lekkomyślność, pochodząca tylko z lenistwa. Z wielu rzeczy chłop nasz wcale korzystać nie umié n. p. z sadownictwa, rybactwa i pszczelnictwa. Wina w tém księży i nauczycieli! — Nawet to, co jest chłopa głównêm powołaniem, traci u niego wartość i jest wielce zaniedbane — rolnictwo. Chłop nasz wszystko zbywa, gospodarstwo zostawia babie, a sam idzie na robotę w znacznej części. Baba „żga" jak może. Lud to sam czuje i wszystko, co robi nazywa „spychacką". — „E — trzeba ta iść co zepchnąć", — mówi nieraz sam do siebie. Powszechny zastój jak w myśli tak i w czynie. To téż nic dziwnego, że chłop nasz za granicą stał się ideałem próżniaka, pijaka i dzika, a kraj nasz otrzymał przydomek „Baerenlandu".

Lud nasz nie lubi nad niczém się zastanawiać, jest lekkomyślny w najwyższym stopniu, a przytém oddaje się pijaństwu. Wskutek tych wad wyzyskuje go każdy na wszystkie strony, a przedewszystkiem żydzi. Także dzieci sprawiedliwéj „Themidy" korzystają z jego lekkomyślności — i drą łyka z chłopa jak mogą. Zdarzają się częste wypadki, że chłop zadłużywszy się niepotrzebnie na chrzciny, wesela i odpusty, aby zadosyćuczynić odwiecznemu zwyczajowi, rujnuje cały swój majątek, — a siebie, dzieci i żonę wystawia na głód i nędzę. Znam jednego rolnika, który niegdyś był najbogatszym we wsi. Było mu to za mało, kupił więc sobie dwór — i zadłużył się po uszy. Rząd sprzedał mu wszystko — i lekkomyślny chłop chodzi dzisiaj „po prośbie". Inny mając znaczny dobytek, pożyczył nań 300 zł. u żyda; z 300 zł. urósł dług wekslowy do 2000 zł., bo na 20 % według ugody sądowej — (!) — i dzisiaj żyd sprzedaje chłopu majątek. Zdaje mi się, że sprawiedliwość na to nie pozwoli...

Takich przykładów możnaby przytoczyć tnzinami, które świadczą nietylko o lekkomyślności naszego ludu, ale i o materyalnêm jego ubóstwie.

Do tego lubi się bardzo stroić, zwłaszcza gdy idzie o pokazanie się publiczne, jak w kościele, na weselu i na chrzcinach. Nie czyni on jednak tego z poczucia estetycznego, czystości, ładu, bo to uczucie jest u niego uśpione, ale ot żeby się przed innymi pokazać — i dlatego wiele na to łoży. Nieraz zdarza się, że dzieci chodzą nago, ale matka stroi się w korale, w spodnice „w 6 brytów" jednę, drugą, trzecią, czwartą — taką i taką — krasiatą i pisiatą — wszystkie naraz, żeby ludzie widzieli. Strój dawny, skromny, już dawno zaginął przeważnie a przynajmniej wielce się zmienił. Dziewczęta po wsiach stroją sukienki różnemi koronkami, wcale niezgadzającymi się z resztą — „niech będzie, co kce, byle nowe" — i tu jakoś lud zatraca swój konserwatyzm, a w wioskach bliżej miasta położonych dziewczęta noszą nawet tiurniury, a chłopcy już dawno zapomnieli o „górnicach" i „sukmanach". — Jest to smutny objaw upadku! — Dawniej, gdy był strój narodowy, lud przeważnie sam sobie go sporządzał z wełny, lnu i konopi, kwitnął więc przemysł domowy — a dziś we wsi i wrzeciona nie zobaczysz, lnu nie sieją ani konopi, chyba dla ptaków. To téż w zimie się nudzą, i już o 4 po południu „razem z kurami" idą spać.

Trzeba jeszcze dodać, że lud galicyjski jest dosyć kłótliwy tak w życiu prywatnêm jak i publicznêm. W domu rad kłóci się z żoną, nieraz bez najmniejszego powodu bije dzieci i sługi, choć mu nic nie przewiniły. W Radzie gminnej rzadko zgodny. To też posiedzenia gminne są wierne posiedzeniom krakowskim n. p. schodzą zwykle na pogadankach — i kończą się zazwyczaj kłótnią. Wójtowie wiejscy starają się naśladować burmistrzów niektórych miasteczek, tak iż niejeden nie wysłuży na tym urzędzie nawet i 3 lat.

Z tego wszystkiego okazuje się, że lud nasz bardzo nam przypomina dawną szlachtę polską — i pokrewieństwem ducha ściśle się z nią łączy. Chłop tęgi, silny, dumny, mściwy, urazy nie daruje — kłótliwy, lekkomyślny, trwoni majątek, lubi się napić, zabawić, wystroić, włóczyć się po odpustach, prawować itd. Kobiety wiejskie są dosyć ładne, delikatnych rysów, silne, zdrowe, odważne. Z powyższego wniosek, że kiedyś z tego chłopstwa możemy mieć dzielnych obywateli, pełnych życia i siły młodzieńczej — tylko trzeba odpowiednio niém pokierować i wyrobić je na obywateli!

L. Sierczanin.

O assymilacyi żydów polskich.

Główną wadą żydów jest chciwość i wyzyskiwanie, zaś główną wadą Polaków niedbalstwo, próżniactwo i lekkomyślność. Zastanawiając się trzeźwo, musimy przyznać, że wady polskie są szkodliwsze dla społeczeństwa, przynajmniej pod względem ekonomicznym, niż wady żydowskie. Chciwość i wyzyskiwanie bowiem są wadami czynnemi, których się można ustrzedz, które można w karby ująć, które dla bacznego są ostrzeżeniem i przestrogą. Ale niedbalstwo, próżniactwo i lekkomyślność są albo bierne, albo nieobrachowane; działają jak jakiś trunek odurzający, robiący ludzi niepoczytalnymi i otrętwiałymi. Niedbalec i lekkomyślnik oprócz szkody, którą innym wyrządza, jest przytem najgorszym swoim własnym wrogiem. Niech każdy Polak obliczy, wiele stracił przez niedbalstwo i własne i innych, a wiele przez cudze wyzyskiwanie, to bardzo wątpię, czy się znajdzie taki, któryby z tej pierwszej przyczyny nie był bez porównania dotkliwiej poszkodowany, niż z drugiej.

Jeślibyśmy się zapytali: kiedy żydzi pozbędą się chęci wyzyskiwania? — można odpowiedzieć: tego samego dnia, tej samej chwili, w której my Polacy pozbędziemy się niedbalstwa i lekkomyślności. Równocześnie potrzebną jest reforma moralna u żydów i Polaków, gdy nastąpić ma nasze własne odrodzenie moralne..

Przy najlepszych warunkach bardzoby się mylił, ktoby przypuszczał, że assymilacya żydów ze społeczeństwem polskiem jest łatwą i że się da prędko przeprowadzić. Byłoby to psychiczną niedorzecznością, wymagać od żydów odrazu szczerego i głębokiego patryotyzmu. Narodowość i patryotyzm to nie jak nowy mundur, który można w jednej chwili dowolnie przybrać lub nie, — to nie są nawet przekonania, które można dowolnie przyjąć lub odrzucić. Narodowość to tradycye, wyssane z piersi matek, to całość uczuć i wspomnień, popychających mimowolnie do ofiary i poświęcenia się dla Ojczyzny. Do wyrobienia takich tradycyj trzeba conajmniej kilku generacyj. To też nasi żydzi tylko stopniowo mogą się zbliżyć do narodu.

Z drugiej strony równie są fałszywe twierdzenia antysemitów, że żydzi z konieczności zawsze pozostaną odrębnymi i zawsze kosmopolitami, i nie są w stanie szczerze się przejąć przywiązaniem do ziemi, która ich żywi. Dla odparcia tego zarzutu zupełnie tu nie wystarczy powoływać się na słowne znaczenie i głośne proklamacye patryotyzmu. Prawdziwy patryotyzm raczej się objawia cichą ofiarnością, niegłośnem wypełnianiem obowiązków w swojem codziennem otoczeniu.

Otóż przyznając, że między żydami wszelkiej narodowości znajduje się niepospolicie wiele blagierów patryotycznych, twierdzi np. p. Stanisław Szczepanowski (w swem dziele „Nędza w Galicyi") częścią z osobistego doświadczenia, częścią z dość wszechstronnego badania odnośnej literatury, że są żydzi (np. w Anglii, Francyi, Węgrzech), którzy się stali prawdziwymi obywatelami i szczerymi synami swojej przybranej Ojczyzny.

Przechodząc do nas, to także mamy niezbite dowody istnienia patryotyzmu polskiego u żydów. Trudno np. odmówić Julianowi Klaczce najszczerszego patryotyzmu, — a ruchy warszawskie po r. 1861. niejednokrotnie dały dowody, jak daleko assymilacya żydów już postąpiła w Warszawie. Z tem wszystkiem trzeba się wystrzegać farbowanych lisów i szarlanteri politycznej. Niechaj z jakiej familii żydowskiej w Galicyi dwóch braci wyemigruje, jeden do Berlina, drugi do Pesztu,—to po kilku latach jeden z nich będzie głośnym pan-Germanem, a drugi żarliwym Madziarem. To trochę za prędko!... Ależ ta blaga, to nie jest znowu rzeczą specyalnie żydowską. Cechuje ona przeważną część zawodowych... polityków.

Kończymy więc słowami p. Szczepanowskiego: „Pracując nad unarodowieniem żydów polskich, trzeba mieć wiele cierpliwości, wiele wyrozumiałości i pracować wytrwale. nie żądając rzeczy niemożliwych i niepsychologicznych".

List ze Żmudzi.

O ile ciężkiem i niewymownie smutnem jest prześladowanie, jakiego doznajemy od „braci Moskali“, o tyle niemiłem dla nas są głosy, żeśmy bezpowrotnie straconą pikietą śród ziem polskich. Tak sądzić mogą ludzie, znający nasz kraj tylko powierzchownie z przejazdu lub z krótkiego pobytu. Zewnętrznie być może, że Zmudź ma pewne pozory zmoskwiczenia, ale tylko zewnętrznie, bo rząd moskiewski despotycznymi środkami, nawet w Chinach niepraktykowanymi, nadzwyczaj łatwo do tego doszedł. Zabronił publicznie wywieszać polskiego napisu, w jakimby on był charakterze, zabronił pod karą usunięcia z zajęcia, urzędnikom i służbie kolejowej używania polskiego języka a we wszystkich urzędach poumieszczał napisy : „Zaprieszczajetsia goworit po polski“, przekonany, że kraj całkiem zassymilował z Moskwą. Tymczasem głębiej spojrzawszy, widzi się całkiem inaczej : prócz żydów wykształconych, którzy się łatwo przerzucać umieją to na tę, to na owę stronę wedle tego, jaki z góry wiatr wieje, i są obecnie zmoskwiczeni, oraz prócz urzędników Moskali, cała ludność jest szczerze polską, gdyż nawet chłop żmudzki słabo lub też wcale niemówiący po polsku, co się przytrafia bliżej pruskiej granicy, — nietylko że się nie skłania w stronę Moskali, ale nawet mniej wśród niego spostrzedz można seperatyzmu w stosunku do szlachty, niż w innych dzielnicach polskich.

Następujący autentyczny fakt o tém najlepiej zaświadczy : Przy przesłuchiwaniu sądowem, na zapytanie sędziego: „do jakiej należysz narodowości ?“ — chłop źle mówiący po polsku odpowiada : „A no Polak“ — „Kak Polak, da ty Żmudin ! — „E kociarz (chociaż) Żmudin, ale zawżdy Polak !“

Co prawda zawdzięczać to winniśmy nieśmiertelnej pamięci biskupowi Maciejowi Wołonczewskiemu, którego patryotyzm może przez szerszy świat polski nie jest tak ocenionym, jak na to zasługuje. S. p. Wołowczewski, sam chłop z pochodzenia, z chłopa żmudzkiego zrobił Polaka a z duchowieństwa godnych sług Chrystusa, starających się postępować zasadami, uczynić starą naszą wiarę zawsze młodą. Bo też główną zasługą obecnej siły ducha na Żmudzi jest nasze duchowieństwo, wychowane przez śp. biskupa Macieja. Takiego duchowieństwa może żadna z dzielnic polskich nie posiada.

Świętym tego dowodem ks. Miekaniewski, nauczyciel religii przy gimnazyum kowieńskiem, który wolał narazić się na dłuższe więzienie, niż dopuścić szkodliwych dla nas innowacyj religijnych dyrektora gimnazyalnego Szokolskiego, b. ucznia Szkoły głównej warszawskiej, obecnie renegata. Opozycya jawna, ofiarą której padł obecnie ks. Miekaniewski, umocniła ducha młodzieży, która dzielnie poszła za przykładem swojego nauczyciela i jawnie dała poznać, że jest nawskroś polską i katolicką. Opozycya ta nie okazała się bezkuteczną, bo Ministeryum wzniosło rozporządzenie dyrektora, nakazujące wszystkim uczniom bez różnicy wyznania przed rozpoczęciem lekcyi słuchać codziennie nabożeństw prawosławnych, i udzieliło mu nadto naganę.

Przykład ks. Miekaniewskiego powinien skutecznie podziałać w Królestwie Kongresowém, gdzie z obawy przed odpowiedzialnością zbyt biernej trzymają się opozycyi. Kto wie, gdyby się znaleźli odważniejsi, którzyby stanęli gorliwiej w obronie resztek bytu narodowego, czyby rząd moskiewski się nie wstrzymał w rusyfikacyjnych zapędach. Dlatego też radzimy wszystkim, którzy Żmudź uważają za straconą pikietę, przypatrzyć się jej lepiej, a gdy zobaczą, że mamy ludzi, którzy przy takiej repressyi, jak dzisiejsza, wychodzą z granic biernej opozycyi ; gdy zważy dokładnie, że przy barbarzyńskiej ustawie, zabraniającej Polakowi nabywania ziemi, mała zaledwie liczba majątków znajduje się w obcych rękach ; a pozbawieni ziemi oraz prawa zajmowania jakiegoś urzędu, biorą się rażno do handlu i przemysłu, wypierając Niemców (np. Żegluga parowa na Niemnie) i Żydów, — możemy im powiedzieć z całą wiarą w przyszłość : Żmudź nie stracona ! Niech tylko reszta Polski więcej ufa i wierzy w jej siły, bacząc i na ten ważny szczegół, że my właśnie posiadamy to okienko na świat szeroki — morze.

Sprawy krajowe.

Złożenie mandatu deputowanego. Przedwcześnie cieszyliśmy się wyborem p. Zygmunta Kozłowskiego na deputowanego do Rady państwa, który wstąpiwszy do Koła polskiego wzmocniłby tamże mniejszość postępową. P. Kozłowski w mowie kandydackiej oświadczył się przeciw podwyższeniu podatku od spirytusu. To nie podobało się oczywiście rządowi, a „służbisty“ starosta postarał się natychmiast o metrykę chrztu, wykazującą, że wybrany jednogłośnie posłem p. Kozłowski nie liczy jeszcze pełnych 30 lat. Nie chcąc się więc narazić na niezatwierdzenie wyboru, p. Kozłowski złożył mandat, a następnie wydał drukiem w Krakowie „List otwarty do swoich wyborców“, który natychmiast skonfiskowanym został z powodu krytyki postępowania rządu. Nie wątpimy, że wyborcy tak długo wybierać będą p. Kozłowskiego na deputowanego (podobnie jak ongi uczynili wyborcy hr. Adama Gołuchowskiego), aż dojdzie pełnych 30 lat.

Emigracya chłopska z Galicyi. Onegdaj przytrzymała policya krakowska wielką liczbę włościan z ajentem na czele, który za grubem wynagrodzeniem ułatwiał im podróż do Ameryki. Smutny ten fakt nie jest odosobnionym. Prawie co drugi, trzeci dzień powtarza się ta sama historya. Władze policyjne i rządowe mają z tego powodu wiele zachodu, a włościanie ponoszą niepowetowane straty. A ile taka emigracya przyczynia się do ogólnej nędzy w kraju!? Jako naoczny świadek tych nieustannych szupasów, twierdzę, że ten zapał emigracyjny naszych chłopów, jeżeli w krótkim czasie nie zostanie stłumionym, zniszczy kraj gorzej, niż spirytus i podatek od wódki. Zważmy tylko, w jaki sposób odbywa się ta emigracya za ocean. Ajent, płatny przez rozmaite towarzystwa okrętowe i kolonizacyjne, werbuje włościanina pojedyńczo, przedstawiając mu Amerykę jako „ziemię obiecaną, płynącą mlekiem i miodem“. Włościanin, oszołomiony tem „przyszłem szczęściem“, decyduje się emigrować; sprzedaje więc wszystko, co ma: narzędzia, odzież, sprzęty itp., — a jeżeli jest gospodarzem, pozbywa się nadto chałupy, ziemi i dobytku. Rzadko atoli kiedy otrzyma on z tej „na prędce“ sprzedaży potrzebną sumę na opędzenie kosztów dalekiej podróży, ba ale sprytni ajenci umią chodzić koło swoich ofiar i upewnić ich, że im to, co mają, wystarczy na podróż. Zachęcony i upewniony o szczęściu niedalekiem wieśniak puszcza się w świat, lecz jakież okropne spotyka go rozczarowanie, gdy na pierwszej lepszej stacyi łapią go żandarmi, odprowadzają go do policyi lub starostwa, odbierają mu pieniądze, które później zwraca mu starostwo, a samemu każą wracać do domu. Cóż on pocznie teraz, kiedy wszystko sprzedał? Trzy pozostają mu wtedy sposoby: albo się powiesić, albo kraść, albo wreszcie pracować i dobijać się na nowo fortuny. To też dzieje się tak, że każdy z nich obiera jednę z tych dróg. Ale do czego to prowadzi? Aż strach pomyśleć!... Zapytujemy tedy, czyja w tem wina i czy nie można temu zaradzić?! Przedewszystkiem winny w tym wypadku władze polityczne. Starostwa powinny nakazać wójtom pilne strzeżenie mieszkańców gminy od możliwych agitacyj, bo przecież trudno przypuścić, aby wójt i radni nie wiedzieli, czy w gminie ktoś agituje, lub nie? Żandarmerya może w tych wypadkach bardzo skutecznie działać. Ostatecznie trzeba co rychło i energicznie zapobiedz złemu i wziąć się do dzieła szczerze, jeżeli nam cokolwiek zależy na włościanach, na tych żywicielach naszych, i jeżeli nie jest nam obojętne dobro kraju i jego przyszłość !...

Przemysł krajowy popieramy zawsze i wszędzie bardzo chętnie w naszej gazecie i w życiu. Ale przyznacie nam pp. przemysłowcy polscy, że dla zasady samej popierania przemysłu krajowego trudno płacić drożej za gorszy produkt. Niedawno temu pisząc o obowiązku zakupywania wyrobów krajowych, wskazaliśmy na atrament krakowskiego wyrobu. Niestety z tego powodu doszło uszu naszych wiele zażaleń, że atrament wyrobu pp. Rzący i Chmurskiego nie jest do użycia i znacznie gorszy od każdego zagranicznego. Także i o wartości wody sodowej i szampana z tej fabryki niekorzystnie się wyrażają. I jakże tu poświęcać się dla rodaków, co tak mało dbają o swą reputacyą na polu przemysłu krajowego?! ..

Nowiny krakowskie.

Konfiskata dwukrotna «Głosu Polskiego« Ostatni numer naszej gazety uległ dwa razy z rzędu konfiskacie przez c. k. Prokuratoryą państwa, obydwa razy za artykuł p. t. „List otwarty do JE. p. Ministra sprawiedliwości dra Prażaka“. Drugim razem nie dopuścił p. Prokurator wydania numeru z wypuszczeniem inkryminowanych ustępów, które były wykropkowane i interliniowane. Dotknięci niebywałą w dziejach dziennikarstwa polskiego konfiskatą dwukrotną jednego i tego samego numeru, po zatwierdzeniu obydwóch konfiskat przez Sąd krajowy karny, wnieśliśmy opozycyą przeciw skonfiskowaniu drugiego nakładu. Sprawozdanie i wynik rozprawy sądowej podamy w przyszłym numerze.

Koncesyonowane Biuro Informacyjne w Krakowie. P. Marceli Turkawski, wydawca-redaktor naszej gazety, otrzymał od Namiestnictwa koncesyą na krajowe Biuro Informacyjne dla załatwiań i pośrednictw we wszelkich interesach prywatnych, publicznych, finansowych itd. Posiadając rozgałęzione stosnnki w całym kraju i za granicą, tudzież zawiązawszy dalsze nader liczne stosunki z pokrewnemi biurami, zarządami dóbr ziemskich, instytucyami finansowemi i z reprezentami handlu i przemysłu,—Biuro to, prowadzone należycie i umiejętnie przez p. W. Ściborę oraz przy pomocy fachowych ajentów, odda niewątpliwie ogromne usługi publiczności, która tym sposobem pozbędzie się pokątnego pośrednictwa wyzyskujących ją i nieuprawnionych do tego faktorów. Zaleca to koncesyonowane Biuro Informacyjne jeszcze ta ważna okoliczność, że warunki za pośrednictwo i załatwienie interesów, oddanych w niezawodne i pewne ręce, są nadzwyczaj przystępne i zapewniają o pomyślnych rezultatach.

Nasza Rada miejska nie zdołała po dwakroć zebrać się w komplecie. Co to dopiero będzie podczas „kanikuły“ w sezonie ogórkowym?! Wreszcie po raz trzeci zwołani ojcowie miasta Krakowa zdobyli się między innemi na następującą uchwałę: 1) Radzie miasta będą przedstawiane propozycye na wakujące posady Magistratu *bez rozpisywania konkursu*; 2) O każdej posadzie wakującej zawiadomi Prezydent okólnikiem urzędników Magistratu, że wolno im kompetować o odnośną posadę“. Otwarcie powiadamy, że stojąc na stanowisku bezwzględnej konkurencyi w ubieganiu się o posady miejskie, nie rozumiemy tej zaściankowości krakowskiej, która tylko urzędników dotychczasowych dopuszcza do awansu i konkurowania o posady przy Magistracie. Nie pojmujemy też, jak przy końcu XIX. wieku można obsadzać posady *bez rozpisywania konkursów*. Gratulujemy więc pp. radnym tak oryginalnej uchwały!..

Ujemne strony plant krakowskich. Plantacye naokoło śródmieścia Krakowa liczymy bez wątpienia do wybitniejszych przyjemności naszego miasta, zwłaszcza zaś w dniach pogodnych i kiedy muzyka wojskowa gra opodal kawiarni Rehmana, ta część plant mogłaby być najbardziej przyjemną. Ale jakże tam zażyć przyjemności, skoro przedsiębiorcom żydowskim pozwolono ustawiać krzesła *vis à vis* muzyki obok kawiarni i sprzedawać miejsca... żydom. Nie chcemy przez to ujmować pewnych praw obywatelom mojżeszowego wyznania, — ale nie możemy ścierpieć posuniętej za daleko swobody i prawa wyłączności. Skutek tego bowiem jest taki, że wszystkie krzesła są wyłącznie zajęte przez starowierców ze Stradomia i Kaźmierza, co sprawia niemiły widok, rozszerza niesmaczną woń i uniemożebnia dłuższy pobyt porządnych ludzi w tej części plant. Tej wstrętnej anomalii możnaby zapobiedz, odbierając osobom prywatnym prawa sprzedawania krzeseł i usuwając „kapociarzy“ z przyzwoitego miejsca poza rejon plant.

Inną niedogodnością jest zakaz niewprowadzania psów na planty (tylko na smyczy). Czy słusznym jest ten zakaz? — pozwolimy sobie wątpić. Z wszystkich miejsc publicznych wyrugowano u nas psa, — nie wolno mu nawet swobodnie i spokojnie przejść przez aleję plantacyjną. Gdzież więc ma się podzieć i którędy chodzić to biedne zwierzę—a z niem jego pan? Znanem jest powszechnie, że psy domowe, dobrze tresowane, są zazwyczaj spokojne i posłuszne, chodzą krok w krok za swym panem; możnaby więc z nimi bez szkody dla plantacyj chodzić aleją, a gdyby nawet jaka „psiua“ wyjątkowo weszła na trawnik, to niczego nie uszkodzi, zresztą od czegoż są strażnicy miejscy... Towarzystwo ochrony zwierząt powinno niestrudzenie nad tem pracować, aby wpłynąć na złagodzenie losu tych męczenników tysięcy przepisów, ograniczających swobodę psów. Wszak powinny one mieć pewne prawa wolności, choćby z tytułu opodatkowanych stworzeń !...

Szpital wojskowy na Wawelu. Batalion inżynieryi wojskowej w Krakowie otrzymał nakaz z dniem 16 b. m. rozpocząć przekształcenie jednego skrzydła zamku Wawelu na szpital wojskowy. W cóż więc obrócił się projekt odnowienia królewskiego zamku na Wawelu?!...

Restauratorzy krakowscy obrazili się bezpotrzebnie z powodu artykułu pt. „Niszczyciele zdrowia“. Ależ na Boga, wyraźnie było tam wydrukowane: *„nie mówimy o wszystkich* itd.“, lecz stosowało się to do tych garkuchni, w ktorych jadło nie jest zbyt zdrowe. Jak z jednej strony prawiąc o złych kiełbasach i salcesonach, nie można nawet myśleć o takich firmach, jak Armółowicz, Kurkiewicz, Czarnecki itd., — takznów wspominając o restauratorach pokątnych, nie mieliśmy nawet na myśli pp. Turlińskiego, Zakrzewskiego, Tylka itd. Trzeba zawsze odróżnić żelazo od złota !...

Gadulstwo i plotkarstwo krakowskie jest prawdziwą hańbą stolicy dawnej Polski. Lekko

duchy, indywidua bez właściwego zajęcia i bez jakiejkolwiek chęci do poważniejszej pracy, bawią się w braku czego innego — intrygowaniem na wszystkie strony. Pokątne te szerszenie kłują znienacka, cichaczem, po cichu, bojąc się schwytania „na gorącym uczynku“, aby nie zostały pozbawione żądła lub też zmiażdżone. Żądło szerszeni-plotkarzy zwrócono przeciw wydawcy-redaktorowi „Głosu Polskiego“, pisma głoszącego śmiało prawdę w oczy, co się wielu intrygantom i blagierom nie podoba. Nie dziwimy się więc, jeśli co chwila dochodzą nas wieści o plotkach i kłamliwych oszczerstwach, wymierzonych przeciwko nam, to o jakichś długach, to znów o jakichś defraudacyach, to wreszcie o jakiemś sprzedawaniu kart itp. *Apage satanas!* — wszystko to brednie, godne papuszerów, z których ust tego rodzaju paplaniny wychodzą. Gaduły i plotkarze! zajmijcie się czemś intratniejszem, — wszak „szkoda czasu i atlasu“!!!

Figaro tu, Figaro tam! — Hrabia Scipio tu, hr. Scipio tam! Hr. Scipio nie-Afrykański, ale z Łopuszki, jest już dyrektorem Banku galicyjskiego dla handlu i przemysłu, gdzie przeprowadza znakomicie likwidacyą nielikwidowanego banku—oczywiście za grubą pensyą. Równocześnie jest dyrektorem krakowskiego Zakładu kredytowego ziemskiego (również za pensyjką, chociaż czynność jego trwa 10 minut dziennie), dalej jest dyrektorem Towarzystwa wzajemnego kredytu, posłem itd., itd. Teraz zachciało się potomkowi sławnego wodza rzymskiego zostać dyrektorem Towarzystwa wzajemnych ubezpieczeń w miejsce zasłużonego p. Łępkowskiego. Mimo groźb prezesa Rady nadzorczej, że złoży swą godność, jeżeliby hr. Scipio del Campo nie był wybrany dyrektorem, większość delegatów nie dała się odstraszyć, i p. Łępkowski został wybranym. Kumulacya posad i synekur płatnych w jednej osobie dobija i tak już konające stronnictwo Stańczykowskie.

„Dobre plecy» w Krakowie. Rządząca w mieście naszem klika Stańczykowska rekrutuje się przeważnie z ludzi nieszczególnych zdolności, ci zaś mają t. zw. „plecy“ i żyją swobodnie kosztem ludzi bez „pleców“, którzy częstokroć stoją wyżej od nich o całe niebo pod względem intelektualnym. Stańczycy bowiem protegują tylko swoich lokajów i lizunów... Oto np. dowody: Na ścianach sali Towarzystwa sztuk pięknych widzimy całą kolekcyą bohomazów jednego i tego samego malarza. Lepszego artysty przyjęto tylko jednę pracę, która świeci jak perła wśród błota pomiędzy owymi bohomozami. Na widok **tego smutno się robi na sercu, że sztuka polska** tak nędznie się przedstawia. Zapytany artysta, dlaczego więcej dzieł swoich nie przysyła na wystawę, odpowiada: „Nie mam pleców!“. A więc nie brak talentów u nas, ale brak „pleców“ wpływa na nędzny wygląd wystawy.

Albo coś innego: W szkole sztuk pięknych są uczniowie bardzo zdolni, średnio zdolni i wątpliwych zdolności. I tu zazwyczaj decydują t. zw. plecy. Uczeń mniej zdolny dostanie wbrew zwyczajowi dwa medale, jeden po drugim, w krótkim odstępie czasu, lub też dwa stypendya naraz,— a uczeń bardzo zdolny musi się zadowolnić kilku dziesią kami na „model“ i nadzieją, że kiedyś w przyszłości dostanie medal i stypendyum! Przy konkursach znowu powtarza się ta sama historya „dobrych pleców“, wbrew prawu i sprawiedliwości. Ale nie dziw, wszak żyjemy w Krakowie, gdzie tylko „plecy“ poplacają.

Co słychać z nowym teatrem krakowskim? Wszystkim wiadomo, że istnieje projekt budowy nowego gmachu dla teatru krakowskiego, i że ów projekt uzyskał już aprobatę opinii publicznej i ojców miasta. Wiadomo nam, że w celu urzeczywistnienia tej uchwały Rady miejskiej kołatano już nieco do ofiarności publicznej, która nie pozostała głuchą, i jak na początek, była dość hojną... Wiadomo nam dalej, że komitet, wybrany z grona poważnych obywateli miasta, miał się zająć nader gorliwie całą sprawą, miał on wybrać odpowiedni plac pod budowę teatru, z archeologami przyszło pono do zgody i rudera na placu św. Ducha zostanie zniesioną. Wiadomo nam też, że miano wypracować nawet plan budowy—i wiele jeszcze innych rzeczy wiadomo nam. Ale zgoła nie wiadomo nam, w jakiem stadyum znajduje się cała ta kwestya — obecnie?!.... Sądzimy więc, że ci panowie, którzy w tej sprawie brali i biorą bezpośredni udział, w interesie dobra publicznego i dla uspokojenia interesujących się tem obywateli, zdobędą się raz na rozwiązanie zagadki: kiedy stanie nowy teatr w Krakowie?!...

Proces ciekawy gminy z radnym. Kraków, owo miasto niespodzianek i plotek, doczeka się procesu, jakiego „świat i Korona polska nie widziała“, i o jakim ucho plotkarek podwawelskich jeszcze nie słyszało. Oto p. *Maurycy Straszewski*, jeden z potentatów miejsko-akademicko-finansowych, *kurator plant krakowskich* a zarazem *radny* miasta Krakowa, wbrew kontraktowi z gminą zawartemu otworzył sobie zajazd do mieszkania przez planty, a gdy Magistrat ustawił słupki na bezprawnym zajeździe, „pan na plantach“ kazał takowe powyrzucać i dalej jeździł po plantacyach. Znowu więc musiał Magistrat postawić zagrodę z palów. Samowolne to naruszenie własności gminy przez kuratora plant, syna śp. wnioskodawcy i opiekuna plant, którego pomnik na wieczną pamiątkę zdobi to urocze ustronie wśród miejskiego kurzu i zaduchy, — obruszyło do żywego obywatelstwo krakowskie. Jakto? więc ten, co z godności radnego i z urzędu kuratora czuwać winien nad całością dobra gminnego i nad nienaruszalnością plant, pozwala sobie tak bezwzględnej samowoli!... Wyniknie z tego proces gminy m. Krakowa z kuratorem plant i radnym dr. M. Straszewskim, a pierwszym skutkiem procesu będzie (w myśl statutu miejskiego) złożenie przezeń *mandatu radzieckiego.*

Krakowskie Stowarzyszenie ochrony zwierząt chcąc działać dodatnio w pięknie obranym kierunku, potrzebuje koniecznie pomocy i poparcia całego społeczeństwa, szkoły, kościoła, i władzy. Wzrost towarzystwa szczególniej przez liczniejsze przystępowanie nauczycieli ludowych w ostatnim czasie, rokuje piękne na przyszłość nadzieje pomyślnego rozwoju i niezaprzeczonego pożytku. Na nich bowiem i duchowieństwie spoczywa skuteczna działalność Towarzystwa, a to przez wpływanie na wychowanie młodszej generacyi i ludu wiejskiego, jakoteż przez pielęgnowanie uczucia w kierunku humanitarnym, co jest głównem zadaniem Towarzystwa. Dla tego też zwróciło się Tow. w ubiegłym roku do tutejszej okręgowej Rady szkolnej miejskiej i zamiejskiej, jakoteż do Rady szkolnej krajowej we Lwowie z prośbą, aby zachęciły nauczycieli tak szkół średnich jak ludowych, do przystępowania do Tow., lub przynajmniej, by szkoły ludowe do bibliotek swoich prenumerowały *Opiekuna zwierząt*, z któregoby nauczyciele mogli czerpać wiadomości o działaniu Towarzystwa ochrony zwierząt, rozszerzać wiadomości swoje w dziedzinie nauk przyrodniczych i takowych dzieciom udzielając, odwodzić je od dręczeń zwierząt i niszczenia pożytecznego ptastwa. Niemniej oceniając ważność pouczania ludu przez duchowieństwo, co do ludzkiego obchodzenia się z zwierzętami, oraz co do przestrzegania istniejących w tym przedmiocie ustaw krajowych, udało się w tym względzie Tow. do konsystorzy biskupich w Tarnowie i Krakowie. Ks. biskup tarnowski wydał w czerwcu r. z. piękną odezwę do duchowieństwa dyecezyalnego, w której podnosi wzniosły cel Towarzystwa powiadając: „Zapatrywania Stowarzyszenia ochrony zwierząt są słuszne i godne uznania; dążności jego zasługują na rzetelne poparcie wielebnego duchowieństwa“. Konsystorz atoli biskupi krakowski, podobnie jak powyżej wymienione władze szkolne, owe instytucye, których zadaniem jest siać naukę, oświatę, moralność, trzymają się zdala od sprawy ochrony zwierząt. Żałować tylko wypada, że te świeczniki ludu i młodzieży wiejskiej i miejskiej okazują taką niechęć nietylko do popierania spraw humanitarnych, ale i do rozszerzania wiedzy swojej w kierunku przyrodniczym; również żałować wypada, że towarzystwo ochrony zwierząt, nie może niestety tym świecznikom ludu i młodzieży przysporzyć bezpośrednio dochodów, jakkolwiek sądzimy, że dzikość i ograniczenie ludu, jakoteż pozostawianie go w tym stanie ciemnoty i barbarzyństwa jest bardzo smutnem źródłem ich dochodów. Szkoła i kościół — oto jedyne i prawdziwe źródła nauki, oświaty, moralności i dobrobytu ludu naszego! Nauczyciel i ksiądz, to przecież przyrodzeni przewodnicy jego, a źle, bardzo źle że coraz więcej pozwalają zastępować się karczmom i czyhającym w nich pasożytom.

Ważnym czynnikiem rozwoju tego rodzaju towarzystw bywa wszędzie poparcie władz. Krakowskie Stowarzyszenie ochrony zwierząt, oprócz miernego poparcia ze strony policyi i magistratu, protekcyą władz krajowych autonomicznych i rządowych niestety poszczycić się nie może, a nie mając władzy wykonawczej, w przestrzeganiu odnośnych ustaw bez poparcia władz kompetentnych tylko z wielkim trudem swe cele przeprowadza. A od kogóż ma się towarzystwo spodziewać należytego poparcia, jak nie od władz autonomicznych, w których rękach wobec ustroju obecnego złożoną jest w przeważnej części kompetencya i obowiązek działania w kierunku, przez Tow. obranym? A tego poparcia od nich spodziewać się ma Towarzystwo wszelkie słuszne powody. Z żalem jednak wyznać musimy, że najkompetentniejsza władza tutejsza, tj. policya trzyma się tej zasady, aby na rozliczne prośby i podania tow. wcale nic nie odpowiadać, ani też nic skutecznego nie zarządzać; niemniej wiele korzystnego mogący zdziałać magistrat, lubuje się widocznie w tem, aby znown towarzystwn udzielać odpowiedzi odmownej. Towarzystwo zwracało kilkakrotnie uwagę tak policyi, jak magistratu na zbyt często powtarzające się w mieście naszem wypadki oburzającego dręczenia zwierząt w ogóle, a szczegolniej zwierząt przy transportowaniu takowych na targi miejscowe, katowanie bydła pociągowego, używanie koni skaleczałych i wynędzniałych, przeciążanie ich zbyt wielkie przy transporcie frachtów do i od dworca kolei żelaznej, przy dowozie materyału opalowego ze składów, przy wywozie ziemi i błota itp. robotach, — następnie prosiło o ulepszenie transportu cieląt na targi, o ludzkie obchodzenie się z bydłem rzeźnem przy rzeźni, i niedręczenia bydła głodem i pragnieniem, przed zabiciem o ścisłe przestrzeganie targowic miejskich, aby na nich nie sprzedawano ptactwa zabitego i żywego, którego ustawy krajowe chwytać i zabijać zabraniają, o niepuszczanie ptaszników z ułowionymi ptakami przez rogatki i linie miasta, odbieranie ptactwa i puszczanie na wolność, o czuwanie nad sprzedażą drobiu na targach, stłoczonego w ciasnych klatkach, lub okropnie skrępowanego i poniewieranego itp. itp. I o oburzającem postępowaniu oprawcy miejskiego z psami na ulicach miasta nie przepomniało Towarzystwo, udając się często w tej sprawie napróżno do magistratu. Ale magistrat woli brać w obronę oprawcę, aniżeli publiczność, doznającą pod wielu względami przykrości i ograniczania osobistej wolności, jak np. przez zabranianie wprowadzania psów do dorożek, lub nakazywanie prowadzenia psów na smyczy po plantacyach, jak tego dowodzą świeżo rozlepione po rogach ulic obwieszczenia. Podobną oziębłością dla sprawy ochrony zwierząt, odznacza się tutejsza administracya akcyzy i myta rogatkowego, a wysoką nieporadnością komisaryat targowy, w oczach którego odbywa się swobodnie sprzedaż ptactwa pożytecznego, i dręczenie drobiu. Mimo tych przeszkód ma towarzystwo nadzieję, że smutne te stosunki z czasem się poprawią. Daj Boże!

Korespondencya z Warszawy.

Warszawa, 25 maja 1888.

Minister wojny nadesłał nader ostre instrukcye co do bezwłocznego i natychmiastowego wykończenia budowy fortów twierdz Modlina i Demblina. Robotnicy, którzy dla robót polnych udali się do domu, zostali bezwłocznie powołani. W obu tych twierdzach pracuje przeszło 10.000 robotników, między tymi przeszło 1.000 mularzy płatnych po 2 i 3 ruble dziennie.

Przez Warszawę przejeżdżała w dzień św. Stanisława sławna „dyplomatka w spodnicy“, księżna Olimpia Barjatyńska, siostrzenica feldmarszałka, zmarłego przed 5 laty w Skierniewicach, a który pozostawił po sobie sławne korespondencye z różnymi przywódcami szczepów sławiańskich. Księżna Olimpia ma usidłać dyplomatów angielskich i pozyskać ich dla Moskwy; — równocześnie wysyła towarzystwo panslawistyczne kapitały, broń i ludzi, by dalej prowadzono wojnę świętą w Azyi środkowej.

Z polecenia wyższego wysłał generał-gubernator Hurko kilka komisyj wojskowych celem zarządzenia rewizyi po koszarach wojskowych; do komisyj tych przydzielonym jest prokurator wojskowy. Komisye te zarządziły rewizye w Demblinie, Modlinie i Lublinie, — między prostem wojskiem nie odkryto nic, —natomiast zostało już 12 oficerów aresztowanych i do cytadeli warszawskiej każdy z osobna pod eskortą odstawionym. Co do powodu aresztowania utrzymują jedni, że knowania nihilistyczne, inni zaś twierdzą, że sprzedaż planów i rozkładu wojska.

Do Królestwa przybywają z głębi Moskwy coraz większe oddziały wojsk regularnych i nieregularnych, a to w wykonaniu nowego *ordre de batalialle*, wydanego przez cara, według którego to rozporządzenia cała siła zbrojna rozporządzalna ma obsadzić granicę państwa od południa i zachodu dwoma armiami.

W Królestwie Polskiem ma nastąpić wkrótce podział na 2 gubernatorstwa jeneralne wojenne: jedno z siedzibą gubernatora wojennego w Warszawie przeciw państwu niemieckiemu, drugie w Lublinie przeciw Austryo-Węgrom.

TEATR KRAKOWSKI.

(*Występy Tatarkiewicza. — Zamknięcie sezonu. — Przyjazd operetki lwowskiej*).

Dyrekcya teatru krakowskiego, chcąc zatrzeć nieprzyjemne wrażenia po Grigolatis, liliputach, poobiednich przedstawieniach itd., w końcu sezonu wiosennego, stosując się do znanej maxymy: *Finis coronat opus*, zaprosiła z Warszawy na gościnne występy do swego przybytku Melpomeny p. Jana Tatarkie-

wicza, artystę dramatycznego i kierownika teatrów warszawskich. Wystąpił on po raz pierwszy w roli młodego Apfla w „Małżeństwie Apfel“, następnie grał w sztukach: „Mąż z grzeczności“, „Rodzina Fourchambolt“, „Wielki człowiek do małych interesów“, „Sprzymierzeńcy“, Romeo i Julia“ i „Fortepian Berty“.

Dziś po występach p. Tatarkiewicza śmiało powiedzieć można, że gra jego była pod każdym względem skończoną i zadowolić mogła najbardziej wymagającego krytyka. Technika sceniczna, łatwość dyalogowania, mistrzowskie obrobienie szczegółów roli, twórcze wykonanie scen mimicznych oraz przejściowych, psychologicznie przeprowadzonych, — śmiało zaliczyć można do arcydzieł sztuki dramatycznej.

Gościnne występy znakomitego artysty były po części probierzem naszej publiczności, która wystawiła sobie świadectwo głębokiej znajomości sztuki i rozwiniętego na szerszą skalę poczucia artystycznego, zapełniając każdym razem salę teatralną i oklaskując artystę-amanta w najstósowniejszych i najzasłużeńszych chwilach.

Sezon teatru krakowskiego skończył się właśnie. Artyści i artystki (otrzymawszy na lato urlop z połową gaży) dzielą się na dwa kółka: jedno wyjeżdża do Tarnowa, a stąd do Szczawnicy; drugie udaje się do prewincyonalnych miast Królestwa; reszta personalu spocznie po trzech kwartałach pracy i trudów na łonie natury i rodziny, aby nabrać nowych sił i chęci do dalszych znojów w jesieni...

A u nas? Ha, do Krakowa zjeżdża praktykowanym oddawna zwyczajem operetka lwowska, tym razem z panią Zimajer na czele. Z zasady nie liczymy się do zapalonych zwolenników operetki, tej skrzywionej i zdegenerowanej Muzy śpiewu i muzyki. Kiepski smak, płaskie i trywialne dowcipy, krzykliwe piosnki bez krzty artyzmu, liczenie się raczej z galeryą, niż z lożami i parterem — charakteryzują zwyczajnie nowoczesną operetkę. Chciejmy wierzyć, że dyrekcya lwowskiego teatru nie zechce karmić Krakowian płodami niesmacznymi i zepsutymi. Dlatego czekamy z niecierpliwością przedstawienia. Zaledwie kilka dni dzieli nas od pierwszego spektaklu, a więc spieszmy nań, aby następnie podzielić się z łaskawymi czytelnikami odniesionemi wrażeniami i spostrzeżeniami. Treść ogórkowego sezonu operetki wypełni: „Manon“, „Genaro“ „Hofner“ i t. d.

Rozmaitości.

Z Podgórza. Potęga naszego burmistrza i sława naszej Rady gminnej wzrastają codziennie coraz bardziej. Wszelkie możliwe władze w Krakowie, Wieliczce, Lwowie i Wiedniu przekonują nas, iż p. Nowacki jest nietylko „lwem“ (jak się nazwał), ale drugim Napoleonem W. Dzięki swej potędze uzyskał on mieszkanie, które w magistrackim budynku od niepamiętnych czasów miewali naczelnicy Sądu. Ale nie dziwota! Wszak p. Nowacki wbrew §. 2. ustawy z 27 października 1862 nr. 87 Dz. p. p., oraz §. 60 ustawy gminnej wykonuje samowolnie władzę sądową i policyjną, tłumacząc się tem, że zakresu tych trzech władz rozróżnić nie potrafi. Teraz stara się podobno p. Nowacki o zniesienie expozytury c. k. Dyrekcyi w Podgórzu, a dla dodania sobie powagi dokumentnej wniósł podanie o udzielenie mu prawa noszenia przy sobie rewolweru, co niepomiernego strachu nabawia spokojnych Podgórzan,...

O tem, że p. Nowacki a nie Sąd powiatowy w Podgórzu sądzić będzie zbrodnie gwałtu publicznego z §. 81. k. k., dowiedzieliśmy się z rozprawy apelacyjnej, o której już w poprzednim numerze pisaliśmy. Uwolnienie p Nowackiego i assesorów Grzybczyka i R. od kary 8-dniowego aresztu przypisać należy tylko tej okoliczności, iż poszkodowany chłop Gawlik wcale rekursu nie wniósł i że go nikt przy apelacyjnej rozprawie nie zastępował. Że zaś chłop nie rekurował, to wyjaśnia zeznanie samego p. Nowackiego w Sądzie podgórskim, że „się pytał Piotra Gawlika, czy chce być do Sądu odstawionym, oraz że kara temuż wymierzona (przez burmistrza) jest małą, jeżeli już za samo przekroczenie pijaństwa kara aresztu aż do 1 miesiąca może być wyznaczoną!“ Zastraszony chłop wolał przez Zwierzchność gminną być zasądzonym.

Co się tyczy obrazy czci dra Swiątka, za co burmistrz p. Nowacki skazanym został na 14 dni aresztu względnie 70 złr. grzywny, rzecz się tak miała: Włościaninowi pobitemu i pokaleczonemu przez policyantów miejskich w Podgórzu wystawił dr. Swiątek na żądanie chorego *visum repertum*. Wskutek tego p. Nowacki na pełnem posiedzeniu Rady gminnej sprzeciwił się nadaniu konsensu pewnej wdowie, krewnej dra Swiątka, a tegoż samego nazwał publicznie „*denuncyantem*“. Mimo że *cała Rada* natychmiast zażądała odwołania, dumny Napoleon podgórski nie odwołał obelgi i dopiero Sąd w dwóch instancyach dał satysfakcyą powszechnie szanowanemu lekarzowi i obywatelowi.

Wreszcie donosimy wszem wobec i każdemu z osobna, że wszelkie obrony i skargi kryminalne burmistrza naszego objął świeżo adwokat krakowski i nadzwyczajny profesor uniwersytetu Jagiellońskiego *dr. Rosenblatt*, który nie waha się przyjmować nawet takich zastępstw, jakich odmówili poprzednio adwokaci inni, jak dr. Hajdukiewicz, dr. F. Jakubowski itd. Wielce dziwimy się p. Rosenblattowi, któremu przecie na karyerze w przyszłości zależeć winno, że podejmuje się spraw tak wątpliwej natury, mogących go w oczach publiczności nawet — skompromitować!

Gawęda o magazynie zbożowym. W komisyi przemysłowej Rady m. Krakowa przewodniczący zabiera głos i gawędzi jak następuje:

„A ja panom mówię i powiadam, że możecie robić, co wam się podoba i jak się wam podoba, ale bynajmniej nie przesądzam sprawy, można jednak tak jak powiedzieć, iż sprawa składów zbożowych jest niby jak już z góry przesądzoną. Wydział krajowy mnie na piśmie urguje. P. Scipio mnie ustnie urguje P. Kirchmayer ciągle mnie nachodzi i oświadcza, że chce objąć łaskawie i miłościwie zarząd nad tymi składami. Bank dla handlu i przemysłu mówi, aczkolwiek nie powiada, że bądź co bądź dla ułatwienia likwidalności musi gwałtem i koniecznie gminie sprzedać składy zbożowe, choćby za 100.000 guldenów. Mój przyjaciel Mefisto również mówi i powiada, a co (to jak wiadomo) to mówi stanowczo, że to złotodajny interes, którego deficyt okaże się dopiero po kilku latach, a będzie w każdym razie (można powiedzieć) 20 razy tak wielki, jak deficyt znakomitej wystawy krajowej. Zewsząd mi mówią i powiadają, że gmina z wszelką pewnością zyska na składach, z tem atoli zastrzeżeniem, jeżeli przypadkowo nie straci. Dlatego ja jeszcze raz mówię i powiadam, co mi zewsząd mówią i powiadają, że sprawa ta jest piekącą dla tych, których na posady przeznaczyłem i dla których te składy właściwie się zakłada. Nieprzesądzając zatem sprawy, tak jak panowie sobie życzą, można sprawę tę według powyższych wskazówek załatwić, a magazyny bankowe, jeżeli są wołczkami zarażone, należy spalić!“..

Mimo tak znakomicie wykrząkniętej mowy komisya nie podzieliła zdania swego patrona, oświadczając, że akcya składów zbożowych i spirytusowych wartają mniej od akcyi nieodżałowanej pamięci, a dla akcyonaryuszów trzykrotnie operowanych smutnej pamięci banku, który nigdy nie trudnił się handlem i przemysłem; z wyjątkiem jedynej wysyłki owiec do Paryża, za ktore jeszcze grubo dopłacił. Stało się więc z magazynem zbożowym jak zwykle w Krakowie, gdzie klika rządząca w mieście wpierw myśli o posadach nim założy jakąkolwiek instytucyą.

Procesya Bożego Ciała w Krakowie będzie jutro obchodzoną z nadzwyczajną uroczystością. Prezydenta miasta i radcę cesarskiego dra F. Szlachtowskiego, występującego oczywiście we fraku, otoczy grono rajców w kontuszach i karabelach. Cechy wystąpią wszystkie z buzdyganami i chorągwiami. Najwyższą polityczną i administracyjną władzę reprezentować będą w pełnych mundurach przy szpadzie i kapeluszach uniformowych pp. komisarze: Link i dr. Górski, a za nimi pójdą pp. tajni radcy dworu i inni dygnitarze sądowi i polityczni.

Prezes sądu karnego p. Adolf Brason ma być powołanym do Ministerstwa sprawiedliwości jako członek czynny komisyi kodyfikacyjnej dla nowego postępowania cywilnego, opartego na zasadzie używanego przy rozprawach karnych.

„Telantograf“. Tak się nazywa nowa zdobycz na polu elektotechniki, która pozostawi za sobą daleko telegrafy i telefony. Wynalazcą jego jest Amerykanin Grau. Za pomocą „Telautografu“ będzie można przenosić na znaczne odległości, jak za pośrednictwem telefonu głos. Gdy ktoś np. na jednym końcowym punkcie aparatu napisze list w Krakowie, to aparat na drugim końcowym punkcie np. w Warszawie, najdokładniej porusza ołówkiem, który tenże sam list równocześnie odkopiuje. Wynalazek ten zapobiegnie masie błędów i bałamuctwom rozmaitego rodzaju, na jakie codziennie narażają nas telegrafy.

Głosy publiczności.

Pan Załęski prenumerator „*Głosu Polskiego*“, nadesłał nam list, w którym składa publiczne podziękowanie

panu G. WERNEROWI

właścicielowi pracowni i składu obuwia męskiego i damskiego w Krakowie, przy ulicy Szewskiej l. 16. — za tegoż znakomity wyrób obuwia, które od kilku lat ciągle nosi i z niego zupełnie jest zadowolonym. Zanim p. Załęski zaczął nosić obuwie z pracowni p. Wernera, miał tak okropne odciski, że nawet kroku nie mógł ustąpić. Po miesiącu noszenia obuwia od p. Wernera, dzięki wybornej skórze i doskonałemu wyrobowi obuwia, p. Załęski postradał wszelkie odciski.

Dlatego też poleca wszystkim trwałe, praktyczne i stosunkowo tanie wyroby pracowni p. G. Wernera. (41, 1—1).

Do dzisiejszego numeru dołącza się dla wszystkich prenumeratorów dodatek, zawierający nowy „Rozkład jazdy na c. k. uprzyw. galic. kolei Karola Ludwika“.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny **Marceli Turkawski.** W drukarni A. Koziańskiego w Krakowie.